

665

Boska! 54

T. Polonia
kwa

Gazeta Wyborcza

Warszawa
27-02-2012
DZ. / Nr 48

Dziś o 20.30 w TVP 1 teatr na żywo: po „Boskiej” czas na „Skarpetki...” Przyzwoici ludzie show

– Nowy teatr woli testować wytrzymałość widza. Stąd też budzi moją nieufność, jego odwaga kojarzy mi się za bardzo z ekshibicjonizmem i bezwstydem – mówi Piotr Fronczewski

JOANNA DERKACZEW

Kamera, akcja, jesteśmy na wizji! – tak zaczęła się historia polskiego Teatru TV. Jednorazowe pokazy na żywo przygotowywali pionierzy gatunku pod kierunkiem Adama Hanuszkiewicza. Do tej formuły Teatr TV wraca po latach kryzysu i szarpaniny. Zamiast miniprodukcji filmowych czy udramatyzowanych dokumentów chce pokazać to, co w teatrze najbardziej teatralne, znane i lubiane: wielkie role, gry konwencją, życie artystów od kulis.

Stąd dwa pierwsze spektakle w nowej formule miały za temat właśnie dylematy aktorów i specyfikę „biznesu scenicznego”.

„Boska” Andrzeja Domalika z autoironiczną rolą Krystyny Jandy (emisja 24 października 2011) to historia zdeterminowanej, ale całkowicie pozbawionej talentu śpiewaczki i artystki estradowej Florence Jenkins. Jej zmagania z akompaniorem, producentami i własną żądzą kariery obejrzało na żywo blisko 3 miliony widzów.

Kolejna premiera, czyli „Skarpetki, opus 124” Daniela Colasa (reż. Maciej Englert), to przypowieść o parze przegranych komedianów (Piotr Fronczewski, Wojciech Pszoniak), którzy w desperackim zrywie próbują ocalić resztki godności i przygotować swój ostatni spektakl.

W produkcji zaangażowano najnowsze technologie. Widzowie śledzący przedstawienie w internecie (skarpetki.tvp.pl) będą mogli „przysiąść się” na wirtualnej widowni. Do wyboru będą różne widoki z czterech kamer (przy przepustowości łączy powyżej 4 Mbps da się je także oglądać jednocześnie na jednym ekranie).

Następny spektakl już w marcu: „Dzienniki” Witolda Gombrowicza (reż. Mikołaj Grabowski) z warszawskiego teatru Imka Tomasza Karolaka. ●

ROZMOWA Z Piotrem Fronczewskim

JOANNA DERKACZEW: Nie mogę ostatnio przekonać nikogo na wyprawę do teatru. Nawet wykształceni ludzie kultury bronią się, tłumacząc: „Za dużo słów, za dużo komplikacji – nie lepiej to wszystko powiedzieć wprost?”

PIOTR FRONCZEWSKI: Przyznam, że na starość też coraz bardziej gustuję w tym, co przejryste i wspólne nam wszystkim.

To co pan robi w teatrze?

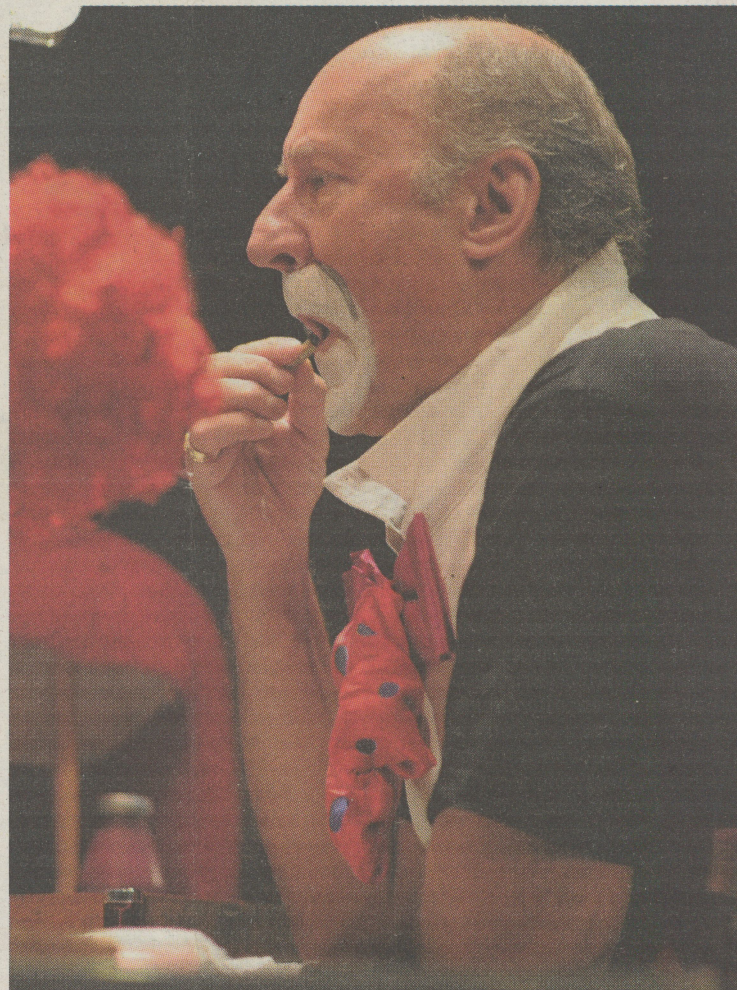
– Coraz mniej nowych rzeczy. Trzymam się sprawdzonych produkcji. Niedawno z Krzysztofem Tyńcem zagraliśmy 670. przedstawienie „Kolacji dla głupca” w Teatrze Ateneum. Trudność z planowaniem kolejnych polega na tym, że ciężko jest mi znaleźć we współczesnej dramaturgii tekst spełniający takie minimum, które ja sobie wyznaczam.

Czyli jakie?

– Po pierwsze: nie nudzić. Sztuki, na które trafiam, zwykle wyposażone są w celową niejasność. Są dostępne tylko twórcy, a pozostałych często dziwią i irytują. Ja w teatrze wolę rozumieć. To pewnie wynika z mojego przygotowania do teatru, moich gustów i oczekiwań, ale co poradzę... A przy okazji chciałoby się robić rzeczy ważne, istotne. Nawet niekoniecznie aktualne, bo nie wydaje mi się, żeby sztuka mogła nam powiedzieć coś absolutnie nowego. Warunki i kontekst zmieniają się, oczywiście. Ale człowiek i tak ciekawy jest tych samych spraw. Chce wiedzieć, czym w takim razie jest dzisiaj godność, miłość, poświęcenie, zdrada. Nowy teatr chyba mniej interesuje się odpowiedziami na te pytania, woli testować wytrzymałość widza. Stąd też budzi moją nieufność, jego odwaga kojarzy mi się za bardzo z ekshibicjonizmem i bezwstydem. Nowi twórcy, nie zwykle przywiązani do własnych hermetycznych wynurzeń, jakoś mnie nie przekonują. Nowa myśl teatralogiczna przeraża mnie i zniesmacza.

A dzisiejszy Teatr Telewizji?

– Ma coraz większy problem z decyzją, o co mu chodzi. Próbuje być kon-



Piotr Fronczewski, Verdier w „Skarpetkach, opus 124”

kurencją dla kina czy filmów dokumentalnych. Na rzecz efektów wizualnych czy wierności faktom rezygnuje nawet z jakości tekstu. I przez to rzeczywiście przestaje być czymś wyjątkowym. Ale różnica polega na materii tekstowej. Bo teatr to w gruncie rzeczy opowiadanie historii. Kiedyś telewizja była zamożniejsza albo po prostu więcej pieniędzy przeznaczala na kulturę. Inwestowało się więc w tekst poważne

kwoty. Można było więcej przeznaczyć na prawa autorskie albo nawet zamówić sztukę specjalnie dla telewizji.

To czym powinien być Teatr Telewizji?

– Wielką sceną posiadającą swój własny, oryginalny język. Sceną totalną. **A co totalnego jest w dwugodzinnej rozmowie starszych panów, jaką zobaczymy w „Skarpetkach, opus 124” – kolejnej odsłonie cyklu „Teatr Telewizji na żywo”?**

– Ja to nazywam teatrem z ludzką twarzą czy teatrem codzienności. Pokazuje on coś, z czym widz jest w stanie się skonfrontować i utożsamić – niezależnie, czy ma wprawę w odczytywaniu symboliki, konwencji teatralnych, czy odniesień do Prousta. To przypowieść o dwóch podstarzałych aktorach, których dylematy wykraczają poza teatr. Ja gram przygaszonego Verdiera, a Wojciech Pszoniak, który specjalnie przywiózł dla nas tę sztukę z Paryża – szarżującego Bremonta. Obaj mają najlepsze lata za sobą, ale próbują wrócić na scenę, przygotowując rodzaj wieczoru poezji francuskiej z muzyką klasyczną. Próby stają się intymną rozmową dwóch mężczyzn, którym trochę się to życie nie udało. Trochę to jest gorzkie, pełne rozczarowań, zniszczonych miłości, zostawionych dzieci. Verdier i Bremont nie pasują do siebie charakterologicznie, mają inne doświadczenia artystyczne. Fakt, że są na siebie skazani, prowokuje różne, często zabawne konflikty. Ale wyłanianie się z tego obraz przyzwoitych, wrażliwych ludzi. Może sporo nie wyszło, a jednak znajdują determinację, by o czymś znowu zamaryżować i spróbować jeszcze raz. Lubię taki teatr, naprawdę.

A co zmienia granie na żywo w telewizji?

– Jestem tak stary, że pamiętam czasy, gdy nie było innego teatru telewizyjnego niż na żywo. Inscenizacje wielkiej literatury. Scena sensacji, Kobra. Przygotowywaliśmy go bardzo tradycyjnymi metodami – najpierw okres prób stolikowych, potem próby sytuacyjne, kamerowe. I w końcu premiera, która była jedynym przedstawieniem. Już sama sytuacja premiery dostarcza dość adrenaliny, a tu jeszcze świadomość wielomilionowej publiczności. Teraz telewizja sięga po spektakle, które mają już jakieś życie sceniczne. Pierwszy z cyklu, czyli „Boska”, Krystyna Janda gra od 2007 roku. Premierę „Skarpetek...” mieliśmy w warszawskim Teatrze Współczesnym w 2010. To niby gwarantuje powodzenie, ale aktorom przydaje dodatkową trudność. Występując tyle czasu, mamy już pewne nawyki, spektakl jest – w najlepszym sensie tego słowa – zrutyżowany. A na ten jeden wieczór, na potrzeby kamer trzeba będzie wprowadzić znaczne korekty. Ale ten wysiłek to trochę odpowiedź na pani problem: po co do teatru?!

Jak to?

– Bo nie chodzi tylko o to, że teatr to magiczny świat, z którego czasem dobywa się jakaś tam prawda. Ważne, że jest realizowany przez człowieka. Kogoś, kogo widzimy tu i teraz z całą fizycznością, ograniczeniami. Widząc, jak się na scenie z tym zmagają, mamy pewność, że obcujemy z czymś autentycznym. ●

MICHAŁ ENGLERT/TEATR WSPÓŁCZESNY